

Po Robercie

24.6.2005 zmarł śmiercią tragiczną Robert Dwornik, jeden z naszych autorów i współpracowników. Na Jego pogrzebie jeden z kolegów zaproponował, by ci którzy Go znali, napisali do „Gazety Wyborczej” swe wspomnienia o Robercie. Napisałem ze 2 strony, tyle ile w tak szokującej chwili mogłem sobie przypomnieć. Posłałem pomysłodawcy, nie licząc, że GW opublikuje całość. Po kilku dniach dowiedziałem się, że nasze teksty opublikowano ale w jego wersji internetowej*) wszystkie wypowiedzi zostały podpisane moim nazwiskiem, choć wyraźnie widać, że autorów i autorek jest kilkoro. Rozpoznaję tu losy Przemka Nowaka, poznaję słowa Beaty Zaduminskiej, domyślam się udziału Rafała Górskiego, Łukasza Dąbrowieckiego, Mrówy i in. Nie wnikając jednak kto poszczególne fragmenty faktycznie napisał, bo to chyba nie aż tak ważne... załączam poniżej tekst z GW z niewielkimi zmianami korektorskimi,

Andrzej Żwawa

Erudyta, monarchista, działacz opozycji antykomunistycznej, ekolog, uczestnik Ruchu „Wolność i Pokój” w latach 1987 – 1992, historyk sztuki, buddysta, tłumacz germanista.

To człowiek godny zapamiętania, ale nie nadaje się, by pisać mu laurkę. Był osobą „sieriozną” – w rosyjskim znaczeniu „poważną”, ale o tyle, o ile czuł się odpowiedzialny za każdą opinię bądź działanie, w którym uczestniczył.

Należał do organizatorów akcji bojkotu studium wojskowego na krakowskich uczelniach jesienią roku 1988 i 1989. Akcja zakończyła się likwidacją obowiązku szkolenia wojskowego studentów w Polsce. Był zatrzymywany przez milicję w związku z udziałem w licznych demonstracjach na rzecz wycofania wojsk radzieckich z Polski. Po roku 1989 kontynuował działalność w Ruchu „Wolność i Pokój”. Współorganizował, w latach 1990 – 1992, akcję „Tama tamie” przeciwko budowie zapory

w Czorsztynie. Każdy represjonowany za wyznawane poglądy mógł liczyć na jego wsparcie i udział w solidarnościowych akcjach. W 1994 roku był współzałożycielem Akademickiego Stowarzyszenia na rzecz Wolnej Czechenii. Publikował w prasie ekologicznej.

Nie pamiętam, kiedy Go poznałem. Pewnie około 1989 roku. Drobnny, zawsze miły, często uśmiechnięty. Przez te kilkanaście lat nie poznaliśmy się zbyt blisko. Zawsze wydawał się gdzieś biec, lecz gdy się zatrzymał, to rozmawiał „na całego”, łatwo wybuchał śmiechem. Skromny i cichy – tak go pamiętam.

Pamiętam też podczorszyński obóz, ognisko, późno w nocy. Zamyślony Robert ważył swe jedzenie i wliczał zawartość cukru. Siedział z wyciągniętymi nogami, w krótkich spodenkach, przez co wydawał się jeszcze mniejszy, prawie jak chłopiec. Inny kolega niedawno się dowiedział, że jego dziewczyna jest w nieplanowanej ciąży. Był przybity, trochę wypił i chyba to wywołało w nim myśl – deskę ratunku: „a może nic nie urodzi?” „Jak to nic?” – Robert oderwał wzrok od wagi i notesu. U nikogo nie widziałem takiego szczerzego zdziwienia na twarzy.

Lubił rozmawiać z ekscentryczną koleżanką, tak jak on germanistką, w naszym wspólnym biurze. Czasem mi to przeszkadzało w pracy. Gdy Robert się o tym dowiedział, bardzo szczerze przeproszał. Pamiętam, jak dziewczyna z ogromnym zaangażowaniem wyznała mu, że nie odróżnia ludzi. Robert całkiem serio i dobitnie dopytywał się, jak to możliwe, by nie odróżniać ludzi, co ma na myśli, czy ma problemy z zapamiętywaniem twarzy i dlatego nie rozróżnia ludzi. Taki to był Robert, otwarty, zaangażowany, szczerzy, niemal naiwny.

Wiem, że dorabiał tłumaczeniami. Czasem pytał, czy mam jakieś zlecenia. Nie miałem płatnych, ale dałem mu do recenzji książkę, którą wydałem nakładem autora. Pomyślałem, że tematyka spodoba się byłemu WiPowcowi. Dostałem dłuższą i krótszą wersję recenzji. Robert bardzo taktownie przedstawił niedoróbki, które

zauważył, równocześnie przedstawiając walory. Nie było w tym ani sprzeczności, ani godzenia przeciwieństw na siłę. Taki był Robert, którego już nie ma.

O zmarłych nie mówi się źle. Ale o Robercie trudno coś złego powiedzieć. Za to na pewno warto mu podziękować, że zwrócił uwagę, jak szybko przemijamy, przechodząc obok siebie, tak mało o sobie wiedząc i niewiele sobie pomagając.

Roberta poznałem piętnaście lat temu na antywojskowej akcji Ruchu „Wolność i Pokój”. Ujął mnie wtedy swoją otwartością i życzliwością. Trudno było nie poczuć do niego sympatii. Przez lata dosyć dobrej – ze względu na wspólną działalność i mieszkanie na sąsiednim osiedlu – znajomości, dał się poznać jako bardzo dobry kolega, na którego można było liczyć, zawsze do niego wstąpić i porozmawiać. Wydaje się nawet, że w przypadku Roberta różnice w poglądach na niektóre sprawy bardziej łączyły niż dzieliły.

Zaangażował się bardzo w akcję „Tama tamie” w Czorsztynie i był jedną z jej pierwszoplanowych postaci. Wtedy z bliska poznałem jego zdecydowanie, odwagę i wytrwałość w realizowaniu tego, co uważał za moralnie słuszne. Nigdy nie szedł na fałszywe kompromisy, które tak naprawdę niczego nie rozwiązywały.

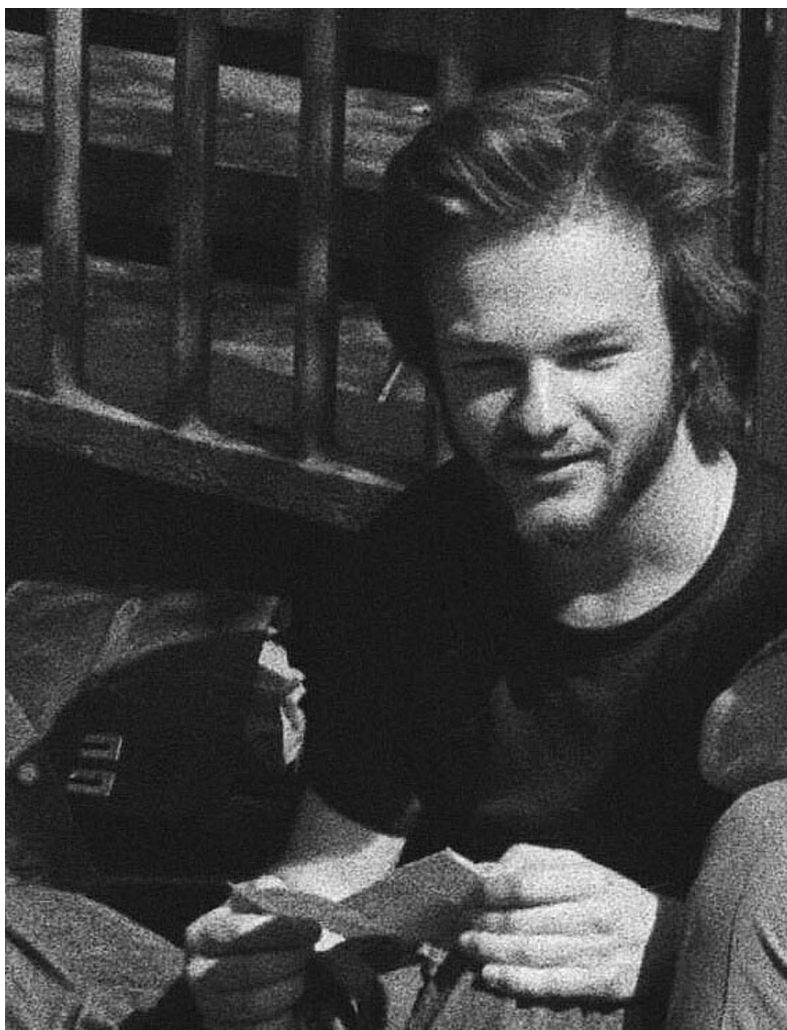
Roberta zapamiętam takiego, jakim zazwyczaj był – z uśmiechem na twarzy. Małego, niepozornego człowieka o wielkim duchu. Zawsze z torbą na ramieniu, w której musiał stałe nosić insulinę.

Cukrzyca, na którą od dzieciństwa cierpiał, była dla niego na pewno dużym obciążeniem, ale on nie dawał tego po sobie poznać i zawsze był pełen pogody ducha.

Będzie Ciebie, Robercie bardzo brakować.

Poznany w dramatycznych okolicznościach – budził zainteresowanie postawą, zdecydowaniem przekonań i gotowością ich obrony.

Uczestniczyli w wielkiej akcji młodych przeciw budowaniu tamy czorsztyńskiej. Wiedzieli, że kontynuują protesty fachowców, że mają za sobą opinię środowisk naukowych. Zbierali informacje o niełatwych przeżyciach mieszkańców Maniów zmuszanych do przesiedlenia. Któregoś dnia na tłum młodych ruszyły wielkie ciężarówki. Robert usiadł po turecku na pierwszej linii, ze zwieszoną głową. Thumek zaczął się cofać – i na asfalcie został siedzący chłopak. Ciężarówka dojeżdżała



do niego. Kilkoro nas uwiesiło się szoferki z krzykiem „Chce go pan zabić? Co pan robi?”.

Pozostał obraz i zaduma o niezwykle romantycznej, męskiej, do ostatka świadomej siebie, uczciwej i konsekwentnej postawie, bardzo rzadko spotykanej w dzisiejszym, konformistycznym świecie.

Pewnie nie był zdolny do proszenia o pomoc, a życie było za trudne, gdy chciał być wierny wyznawanym zasadom.

Pamiętam Roberta jako ciepłego, pogodnego, życzliwego wszystkim człowiekowi. O poglądach bardzo oryginalnych, bo monarchistycznych. Moje wspomnienia o nim są bezpośrednio związane ze środowiskiem, w którym go poznałam, a był to „pookrągłostołowy” krakowski WiP i Federacja Zielonych.

Nie zapomnę nigdy, jak podczas jednego z niezliczonych knajpiarskich rozgadanych wieczorów, przekonywał nas, wtedy o anarchizujących poglądach, że monarchia jest najlepszym z systemów wymyślonych przez ludzkość, bo monarcha lub monarchini dobrym panem i opiekunem ludu jest, a podatki są niskie. Kiedy ze zdru-

mieniem kręciliśmy głowami, on śmiejąc się, waląc ręką w stół, powoływał się na przykład angielskiej królowej Wiktorii. Nie cierpiał Rewolucji Francuskiej i powiedział, że jedynym jej dobrodziejstwem było przypadkowe uwolnienie markiza de Sade'a przez tłum burzący paryską Bastylię. Nie tylko te poglądy wyróżniały Roberta.

Wyrastając w Bawarii, był oczarowany niemiecką sztuką, literaturą i poezją. I tu przychodzi mi na myśl inne wspomnienie związane z Robertem. Była to okupacja Ministerstwa Sprawiedliwości po blokadach zapory w Czorsztynie. Byliśmy bardzo zdeterminowani, gdyż większość z nas miała zasądzone kolegia. Ja w towarzystwie Roberta i wspólnego przyjaciela Rafała Górskiego przywiązałam się do kaloryfera w jednym z korytarzy. Po pewnym czasie Rafał i Robert wdali się w spór dotyczący bodajże poezji niemieckiego baroku. Spór ich nie ustał nawet wtedy, gdy policjanci, nie widząc innego wyjścia, wynosili nas na rękach, ciągle ze sobą związanych.

Był z całą pewnością człowiekiem wybitnym. Niestety, bardzo wrażliwym. Piszę niestety, bo jest to cecha charakteru niezwykle utrudniająca życie w obecnych czasach. Szanował prawa innych ludzi do odmienności, ale nie jestem pewna, czy inni potrafili szanować i cenić jego odmiennosc. Myślę, że Robert był zaprzeczeniem osoby mogącej odnieść w tych czasach sukces i za to właśnie zapłacił najwyższą cenę, oddając swoje życie.

Miałam przez lata takiego bardzo peryferycznego znajomego. Nazywał się Robert i był mocno związany z opozycyjnym Ruchem „Wolność i Pokój”. Ja załapałam się w Krakowie tylko na resztki tego ruchu – więc nie znalazłam go prawie. Jawił mi się człowiekiem mądrym, subtelnym, dyskretnym, brzydkim, z poczuciem humoru i nienarzucającym się. Zawsze samotnym.

Spotykałam go czasem na sesjach naukowych – zwyczajowo dobierał te spotkania z większym znawstwem niż ja – bo zwróciłam kiedyś uwagę, że na szmirach go nie widuję. Myślałam, że jego samotność jest oswojona własną filozofią – i że ma jakieś prywatne pokłady bliskich i sensów, o których ja nic nie wiem. Więc nie narzucałam się z przyjaźnią.

Okazało się, że w tej swojej subtelnej manierze nienarzucając się Robert był całkiem sam. Rozmawiałam z nim ostatnio na sesji o demonach buddyjskich – czyli ideach nadwartościowych, czy psychozach, które używają władzę nad umysłem. Robert jak zawsze inteligentny, z dużym dystansem, dyskretnie i z humorem łagodził moje nadąsanie na poziom i sarkazmy, które za łatwo mi przychodzą. Jakoś wiedziałam, że musiał wydobyc się z siebie, by ze mną pogadać – wiedziałam, że stanowiłam tą swoją gmatwaniną zdań jakieś wytchnienie. Czulałam, że sprawa jest poważna. I nic. Uwikłana

we własne obawy, zajęta swoim – mało imponującym – życiem, być może straciłam jedyną szansę na unikatową i ważną przyjaźń. I w odróżnieniu od Roberta, będę musiała z tym żyć.

Poznałam Roberta w 1988 roku, kiedy jeszcze jako licealista pojechałam na WiPowską imprezę do Białogóry nad morze. To był HYDE PARK, gdzie zjechali ludzie związani z tym środowiskiem. Do tej pory mam zdjęcie, na którym Robert razem z innymi WiPowcami płąsa pod sceną podczas koncertu.

Rok później był HYDE PARK, też nad morzem, w Lubieszewie, na którym Robert też był.

Od 1990 roku zaczęły się protesty i blokady na budowie tamy w Czorsztynie. Manifestacje odbywały się też w Krakowie (np. pod Okręgową Dyrekcją Gospodarki Wodnej – wykonawcą tej inwestycji). Robert często uczestniczył w pikietach, protestach, ale przede wszystkim w blokadach. Pamiętam jak w 1991 roku, gdy władza zdecydowała się stawiać blokujących przed kolegiami (rok wcześniej policja jedynie usuwała protestujących z drogi), szukaliśmy z nim w Nowym Targu prawnika, aby sensownie bronić zamykanych na „dolku” i stawianych przed kolegiami. W 1992 roku znów siedzieliśmy na asfalcie pod zamkiem czorsztyńskim. To wtedy jeden z kierowców, chcąc sforsować blokadę, najechał na dwie osoby, m.in. zmiażdżył stopę Borysa, i dalej napierał. Wisiałem obok Roberta na zderzaku coraz szybciej jadącej tetry i dopiero w ostatnim momencie udało nam się odskoczyć. Potem był galop do telefonu, aby wezwać karetkę, biegliśmy razem.

W 1993 roku trafiłem do szpitala po wylewie krwi do mózgu i dwa lata potem, po operacji, gdy wracałem do domu, Robert pamiętał o mnie i mnie odwiedzał.

Zapadła mi w pamięć rozmowa z Borysem sprzed lat o krakowskich zadymach z końca lat 80.: „Dwornik najmocniej rzucał kamienie”, co, kojarząc z jego drobną posturą, dodatkowo budzi mój szacunek do niego.

Zawsze, gdy byliśmy z Anią – moją żoną – w Krakowie, wymienialiśmy choć parę zdań z Robertem, ale przeważnie to były dłuższe rozmowy. Ostatniego e-maila dostaliśmy 21 czerwca.

I jeszcze jedno – cytat z jednego z ostatnich listów od niego: „W całym kraju WiPowska ekipa nie trzyma się już razem, ludzie nie mają ze sobą większego kontaktu, często są ze sobą pokłóceni. Komuna środowiska wykończyć nie mogła, w demokracji zrobiła to przeważnie kasa. A są na świecie kombataneci, co do końca życia trzymają się razem. Może to się udaje ludziom, którzy walczyli z bronią w rękę? Trochę źle to rozegraliśmy. Cóż, człowiek uczy się na błędach”. A jednak ci ludzie ciągle pamiętają i pamiętali o Robercie, co było najlepiej widać na jego pogrzebie.

*) <http://miasta.gazeta.pl/krakow/1,53181,2825985.html>